

Rafał Sulikowski

# Niekończące się czytanie...

(1)

## E-literatura: szanse i zagrożenia

Odkąd powstał cywilny Internet z miejsca powstały portale literackie, które publikują przeważnie wszystko, co prześlą użytkownicy. Każdy teraz może pisać i publikować, wrzucając do globalnej sieci, co się żywnie podoba, bez żadnej cenzury ani nawet korekty redaktora, który w tradycyjnej redakcji pomagał autorowi doprowadzić jego utwór do stanu optymalnego. Pojawiły się platformy self-publishingowe, gdzie autorzy mogą zadebiutować wydaniem e-booka, a nawet klasycznej książki. Własnym sumptem, a potem liczyć na to, że znajdą się czytelnicy, że znajdzie się publiczność, którą autor zaczaruje.

Czy to dobrze, że dziś debiut jest fraszką, że można pisać wszystko i o wszystkim, w dowolnej formie, w myśl nowej zasady, że Internet wszystko przyjmie, i mając nieograniczoną pojemność, wszystko zmieści? Nie wiem, za krótko obcujemy jeszcze z siecią, ale pierwsze owoce rewolucji w wydawaniu i redagowaniu utworów już są.

Po pierwsze, publikacja elektroniczna ma szansę szybciej dotrzeć do potencjalnych odbiorców na całym świecie, a na pewno w ojczywym obszarze językowym autora. To niewątpliwie zaleta – publikuje się jednym kliknięciem, utwór znajduje mnóstwo czytelników, jest odzew, pojawiają się zwrotne informacje w postaci komentarzy, wpisów do księgi pamiątkowej czy dyskusji na czacie i forach.

Po drugie, Internet to nadal jeden wielki chaos. Tradycyjna książka drukowana co prawda jest może mniej „ekologiczna”, ale zarazem umożliwia wędrówkę książki w świecie rzeczywistym, jak list, który wysłany sto lat temu dociera wreszcie do portu przeznaczenia, ponieważ przydarzyła mu się po drodze przygoda w myśl zasady „habent sua fata libelli”, co się tłumaczy jako „książki mają swoje losy”. Autor pisząc dawniej, pisał dłużej, poprawiał, korygował, notował fiszki, słowem budował solidny warsztat. Nie spieszył się, nic go nie goniło, miał czas, zwłaszcza gdy otrzymał od wydawnictwa zaliczkę, żeby nie martwić się o codzienność i móc poświęcić swemu dziełu, czasami dziełu życia. Dziś?

Dziś książki się nie pisze, tylko produkuje, nie czyta, tylko liczy, albo kartkuje, skanuje, czego uczą okropne kursy „szybkiego czytania”, gdzie nawet beletrystykę i o zgrozo poezję czyta się jednym rzutem oka, co zabija estetykę przekazu, brzmienie słowa, a także powoduje nerwowy pośpiech: czytamy szybko, dużo, pobieżnie, bo nie da się czytać jednocześnie szybko i wnikliwie. To plaga –

pół biedy, gdy szybkie czytanie przeznaczone jest do opanowania podręcznika czy pomocy dydaktycznej, ale zabójcze jest dla przeżywania literatury szybkie kartkowanie tomików poetyckich, bo trzeba napisać szybko (na wczoraj!) recenzję, bo redaktor się śpieszy. Wyścig szczurów dotknął i nie ominął także nobliwej, dostojnej literatury, spowodował, że miernoty publikują, albo sprawiają, że skądinąd dobrze się zapowiadający przyszli pisarze, obniżają poziom, na przykład wrzucając do sieci naprędce sklecone pseudotekściki, kompletnie nieprzemysłane, napisane fatalnym stylem, skomponowane w sposób straszny, zdeformowane do tego stopnia, że nawet nie wiadomo, jaki to gatunek literacki, że nie wiemy, czy to liryka, epika czy esej. Mieszanie rejestrów, rodzajów literackich to wynalazek awangard dwudziestowiecznych i neoromantycznych, dziś zbieramy tego plony. Nie da się jednocześnie pisać poezji i prozy – trzeba się zdecydować, ale tu natrafiamy na pierwszy kłopot: autorzy cierpią na nadwybór – mają do dyspozycji tyle tematów i form wypowiedzi oraz środków artystycznych, i nie wiedzą, co wybrać, na co się zdecydować. Najpierw jest temat, potem forma. Tak było i to było dobre, a tego co z dawna dobre nie powinno się zmieniać, tylko dlatego, że za wszelką cenę chcę być oryginalny, stworzyć od nowa wszystko, wyrzucając całą tradycję literacką.



Rys. Barbara Medajska

I tu jest chyba coś ważnego – odcięci od tradycji literackiej, jesteśmy nowymi barbarzyńcami, bo czytając za dużo i za szybko, nic nie pamiętamy z tego, a pisząc dużo i szybko tworzymy chaos, w którym trudno cokolwiek znaleźć. Nawet tradycyjne wydawnictwa się spieszą, wydają pośpiesznie fatalnie zredagowane książki, które potem zalegają w magazynach i idą na makulaturę i przemiał.

Bardzo mało jest na świecie ksiązek, które każdy kulturalny człowiek powinien znać niemal na pamięć. Tak naprawdę 96% tego, co się dziś publikuje, zwłaszcza w sieci, spokojnie i bez bólów sumienia można sobie darować nie tylko bez żadnej straty, ale jeszcze można ustrzec się przed toksyczną

literaturą”, jakiej pełno. Tak naprawdę w historii literatury polskiej jest może kilkanaście nazwisk godnych dziś uwagi, z czego poza granicami Polski znanych jest może czterech, pięciu, a pisarzy arcydzielnych jest jeszcze mniej.

Pozorne bogactwo duchowe, jakiego doświadczamy wchodząc do licznych księgarni albo logując się do jakiegokolwiek portalu literackiego, może zwieść: niech nas nie zmylą piękne, barwne okładki, chwytliwe tytuły i tak zwane „nośne” nazwiska. Być może największe skarby kryją się nie w sieci, a nawet nie w księgarni, ale w antykwariatkach, w piwnicach, na strychach, w bibliotekach klasztornych, w miejscach ukrytych przed profanami, bo literatura ma aspekt sakralny, jest zaproszeniem do tego, aby nie pokładać nadziei w rzeczach, ale w duchu.

Tworzyć jest rzeczą dobrą, ale czasami trzeba umieć pokornie oddać hołd tym, co nam przecierali, nieraz z narażeniem życia, jak Bułhakow, szlaki, żebyśmy mogli cieszyć się dziś pełnią wolności twórczej. Pamięć dziś słabnie – czytamy mniej, ale uważniej. Od niedawna tak robię, choć łapię się, że przyspieszam niecierpliwie, więc znowu zwalniam, wracam do przeczytanego, żeby uchwycić sens, zrozumieć, zapamiętać i wykorzystać lekturę w codziennym życiu. Lektura nie ma tylko odrywać od „garów”, ma też pomóc w ich myciu. A Internet jest kopią z ukrytego oryginału, podwójną kopią, więc odrywa nas, zamiast „pomagać być”. Lepiej, coraz doskonalej, coraz pięknie. Tylko tyle? Aż tyle...

## Metafizyka czytania tekstów natchnionych

Istniała w XX-leciu międzywojennym eksperymentalna metoda „automatycznego pisma”, z którego potem – zapewne od Freuda z jego metody „swobodnych skojarzeń” – powstała literatura „strumienia świadomości”. Ominięto jednak w ten sposób, psychologizując literaturę, zgodnie z duchem tamtej ciekawej epoki, jeszcze inne zjawiska. Mam na myśli teksty mistyczne, jakie powstają od dawna w religiach światowych, a w chrześcijaństwie począwszy od czasów patrystycznych, jako świetne komentarze do pisma świętego, zwłaszcza nowego testamentu.

Po wybuchu deizmu, a potem ateizmu w XVIII wieku mogło się wydawać, że nie powstaną już teksty mistyczne, w rodzaju „Twierdzy wewnętrznej” Teresy z Avila, czy wielki traktat mistyczny Jana od Krzyża o dwu typach „nocy ciemnej”, przez którą musi